

„Księga pamięci gminy żydowskiej w Kolnie”, redakcja oryginału Ajzyk Remba i Biniamin Halewi (fragment, materiał roboczy)

Renata Alter (Rachel Borkowski)

Rozdziały z dziejów Kolna

Towarzyszące postaci

Minęło wiele lat od czasów tak mi drogich i bliskich. Przed oczami wciąż mam postacie z miasta, z którego pochodzę, z Kolna.

Wspomnienia o latach, które odeszły – pozornie nierzeczywiste, znajdujące się gdzieś w otchłani zapomnienia, bez życia – wystarczy lekko je ruszyć, by ożyły.

Podczas tułaczki po świecie i w ukryciu, gdy nie raz stawałam twarzą twarz ze śmiercią, wyczerpana i głodna, samotna, obdarta i w łachmanach oraz bez wiedzy o losach moich bliskich, potrafiłam jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki przywołać w pamięci obrazy mieszkańców mojego miasta.

Postacie te zawsze mi towarzyszą. Z mojej woli, aby pamięć o nich nie przeminęła. Chcę się do tego przyczynić pisząc o nich.

Utknęły mi w pamięci zwłaszcza osoby ubogie, przygnębione, samotne i opuszczone. Stosunek do nich nie został ukształtowany przez dialektykę materialistyczną Karola Marksa, ale przez współczucie, które już od dzieciństwa odczuwałam w stosunku do osób skazanych na życie w biedzie i cierpieniu, które nie zasmakowały życia i które odeszły z tego świata nie zaznawszy uciechy.

Opiszę tutaj niektóre z tych postaci zgodnie z tym, jak pamiętam je z dzieciństwa.

Widok z dzieciństwa

Domy w moim miasteczku Kolnie miały skromne okna, a od kwadratowego rynku odchodziły uliczki.

Żaden architekt nie projektował tych domów. Nie zbudował ich też żaden inżynier. Po tym, jak w wyniku pożarów w ogniu stawały dziesiątki domów, a niekiedy i całe ulice, wybudowywano nowe domy w tym samym stylu. Wspominam lata, gdy zdawało się, że życie jest bezgranicznie piękne i cały świat stoi przede mną otworem. Przed oczami przemykają mi obrazy z dzieciństwa. Wydawało mi się, że wraz z innymi dziećmi skoczyłam i unosiłam się wirując wysoko nad ziemią – a w rzeczywistości był to skok nad dachem kurnika stojącego na naszym podwórku, którym spłoszyliśmy kury hodowane przez Rachel Bramson. Wielki kamień stojący za bet ha-midraszem, niedaleko jatki pana Buraka, dla nas był górą. Gdy trochę podrośliśmy, całą grupą biegaliśmy w górę ulicy Łomżyńskiej, w kierunku rzeki.

Rzeka Łabna. W myślach proszę ją o przebaczenie. W sezonie zimowym była ledwo strumyczkiem, lecz wiosną zmieniała się w prawdziwą rzekę. Wylewała na torfowiska, zalewając znaczny teren. Wylewała też na pobliskie pola. Potem się cofała, zostawiając za sobą gałęzie i połamane drzewa, a my raniliśmy sobie nogi próbując się do niej przedrzeć.

Pod mosteczkiem, stojącym na solidnych palach, było mnóstwo kamieni między którymi przepływała woda tworząc pianę. O te kamienie, jak gdyby do tego stworzone, kobiety uderzały praniem.

W upalne dni lubiliśmy rozkładać się na pobliskich torfowiskach. Wpatrywaliśmy się w ptaki, malutkie niczym punkciki przelatujące nad naszymi głowami. Obserwowaliśmy płynące nad nami chmury. Bzyczenie pszczół i innych owadów oraz zapach traw dochodzący z pól z taką mocą odurzały i wabiły nas w to miejsce, że raz niemal ugrzęzłam na torfowisku.

Doskonałym miejscem do zabaw były też okolice kolejki wąskotorowej, przez miejscowych nazywanej zdrobniale „ciuchcią”. „Ciuchcia” nie miała stałego rozkładu jazdy. Jeździła wyłącznie, gdy najwyższy rangą pracownik służby kolei, nazywany wdzięcznie „kierownikiem stacji”, nie był zaprawiony. A gdy „ciuchcia” ruszała w drogę, wyrzucała z siebie takie kłęby dymu i piszczała tak przeraźliwie, że prawie pękały nam bębenki w uszach. W takich chwilach rozpierzchałyśmy się na wszystkie strony jak stado przestraszonych kruków.

Nasz stary dom

Jestem połączona nierozzerwalną więzią z miejscem swojego urodzenia.

Czy gdziekolwiek tak przyjemnie pachniało akacjami jak na ulicy Czerwińskiej niedaleko szkoły średniej, w której się uczyłam? Czy gdzieś letnie powiewy wiatru były tak lekkie, pełne zapachu i ciepłe jak na ulicy Gromadzińskiej? Czy gdzieś skóra pachniała tak po deszczu jak na trasie do Kozła? Przebywając w tych wszystkich miejscach, które odwiedziłam przez te wszystkie lata, zawsze wracałam myślami do mojego domu rodzinnego.

Ależ ja kochałam nasz stary dom, w którym się wychowywałam! Uwielbiałam wieczorami stać na chłodnym balkonie przy drzwiach kuchni, przyglądać się lampie zapalanej w pokoju i pięknemu zegarowi wahadłowemu, który sięgał od podłogi prawie do sufitu. Mogłam obserwować stąd ojca, którego podziwiałam bardziej niż kogokolwiek innego na świecie, gdy siedział przy stole i czytał gazetę.

A jak śmiałam się, gdy okulary, które pretensjonalnie nazywaliśmy „pince-nez”, zawieszane na łańcuszku i trzymające się na metalowym druciku, zsuwały mu się co chwilę z nosa. Widzę róg pieca kaflowego i podłokietniki starej sofy. Widzę siebie siedzącą w oknie naszego domu, z którego rozciągał się widok na cały plac targowy, będący dla mnie wówczas całym światem. Z tego okna w stronę rynku wyglądała mała dziewczynka i z dużym zainteresowaniem przyglądała się życiu dorosłych.

Panie Świata, kogo ja nie widziałam z tego mojego okna? Wczesnie rano, dostojnie i powoli, szedł w kierunku bet ha-midrashu jedyny syn Hindy Glik. Jak zahipnotyzowana patrzyłam tylko na jego buty, broda sięgająca mu aż do piersi interesowała mnie jakby mniej. Syn Hindy bowiem – co ta opowiadała w ekscytacji mojej mamie – jest człowiekiem niezwykle pobożnym, przestrzegającym każdziuskiej zasady koszerności i mającym święcenia rabinackie. Ma jednak jedną wadę – ściszała głos moja mama – wstaje z łóżka lewą nogą i najpierw zakłada lewy but na lewą nogę! Kto to słyszał, żeby pobożny Żyd wstawał lewą nogą z łóżka? I tak biedna Hinda stała każdego poranka przy łóżku swojego jedyne syna i pilnowała, żeby wstał z łóżka prawą nogą, bo inaczej..., Boże uchwój, utarg w sklepie może być niewielki albo, nie daj Boże, może wydarzyć się jeszcze większa tragedia.

Nie wiem, dlatego jednak już wówczas uważałam, że młody Glik robi to z premedytacją, aby wyrazić swoją niezgodę wobec dyktatorskich zapędów matki planującej każdy jego krok.

Zdradziły mi ów sekret wesołe iskierki migoczące w jego oczach, gdy szedł środkiem placu targowego, niosąc pod pachą tańs i tefilin.

A kto pierwszy widział Jakowa Hilera, biegnącego bez tchu przez środek placu targowego, z rozpiętym płaszczem i przekrzywioną jarmużką na głowie, w kierunku naszego domu? Natychmiast złapałam w czym rzecz i nie czekając aż dobiegnie wpadałam jak burza do sklepu Lejbela Sokolowera, wiedząc, że mój ojciec odbywał tam o tej porze miłe pogawędki.

„Choć prędko tato, prędko, Lejcia Hiler ma atak kamieni żółciowych!” – bo było wiadomo, że gdy Lejcia miała atak kamieni żółciowych, mój ojciec biegł na pocztę, aby wezwać doktora z Johannisburga. Lejcia Hiler nie uznawała lekarza z Kolna i ufała jedynie lekarzowi z Johannisburga. Dlaczego rola ta przypadała mojemu ojcu i dlaczego nie robił tego sam Jakow Hiler – nie wiem tego do dziś.

Czy chcecie więcej dowodów mojej wszechwiedzy, nieposkromionej ciekawości i talentów? Liczne były usługi, które świadczyłam mieszkańcom mojego miasta. Wiele ich mogłabym wymienić.

Kto miał wiedzieć pierwszy, która kobieta zaczyna rodzić, jeśli nie ja? Gdy przez okno widziałam położoną Sonię Morgensztern, nadchodzącą szybkim i zdecydowanym krokiem, w rękę trzymającą torbę i z przewieszonym na ramieniu białym fartuchem, wiadomym było, że oto zaraz, za chwilę... Wyskakiwałam i biegłam rozgłaszać wszem i wobec ważne wieści o tym, kto wkrótce będzie rodzić.

Moi wujkowie

A kim jest osoba, która, powłócząc nogami, bada ulicę przed sobą laską, donośnie stukając nią o bruk? To mój wujek Wolf Ber Burakowski. Wolf Ber z guzami, jak go nazywano w rodzinie. Miał dwa duże guzy na łysej głowie, które prawdopodobnie sprawiły, że stracił wzrok. Był despotą jakich mało. O jego apodyktycznych zachowaniach wiele się mówiło w rodzinie. Mam ochotę ujawnić czytelnikom szczegóły, lecz ponieważ była to pilnie strzeżona tajemnica i nie wolno było jej nikomu zdradzać, będę milczała również tym razem.

Mogę wam jednak zdradzić, że Wolf Ber miał ogromny apetyt. Po tym, jak solidnie najadał się u swoich córek, przychodził do nas. Jeszcze zanim przekroczył próg naszego domu,

huczał: „Głodzą własnego ślepego ojca! Z całego dobytku mnie oskubały te moje nieposłuszne córki, a ja jeszcze nic dzisiaj w ustach nie miałem!”.

W tym momencie szybko wyskakiwałyśmy z domu i razem z ojcem wciągałyśmy go prędko do środka, zanim wieść poniesie się, nie daj Boże, po całym rynku. Wolf Ber stękał co nie miara przy długim stole, a gdy moja mama ociągała się nieco z podawaniem jedzenia (żądał podawania mu jego ulubionych dań), podchodził do drzwi i znowu zaczynał krzyczeć. Był to przypadek „klęski niezapisanej w Torze”¹ dla moich rodziców i do dzisiaj nie umiem pojąć ich dobra i wytrwałości w znoszeniu upokorzeń, którymi ich codziennie poddawał. Jednak najwidoczniej nie ma rzeczy, której nie zrobi się, aby bronić honoru rodziny Borkowskich. A honor rodziny Borkowskich był nad wyraz ceniony! Nie radzę nikomu go znieważać. W takim przypadku cała rodzina stawała za poszkodowanym.

Ja, rzecz jasna, byłam wszędzie, o wszystkim musiałam wiedzieć i nic nie można było przede mną ukryć.

Mój drugi wujek, niech spoczywa w pokoju, miał niedosłuch. Wszystkie jego zdolności i odczucia koncentrowały się w zmyśle dotyku. Nie trzeba było się obawiać, gdy w rodzinnej posiadłości mojego dziadka w Filipkach znikwały kury. Wiadomym było, że mój wujek znajdzie je gdy tylko wyjdzie na pole. Chłopki ukrywały skradzione kury pod szerokimi spódnicami, jednak mój temperamentny wujek nie przepuszczał żadnej z nich. Podciągał im spódnice, gdacząc przy tym jak kura. Zguby od razu wyskakiwały.

Nasi lokatorzy i sąsiedzi

Bywały dni, w które nie wiedziałam co robić. Oprócz okna wychodzącego na ulicę, przez które mogłam śledzić wszystkich zbliżających się do rynku, miałam jeszcze jedno okno z widokiem na tył naszego domu. Mogłam przez nie obserwować naszych Żydów idących na modlitwę do synagogi albo do bet ha-midraszu. Zwłaszcza w szabaty i święta biegałam w kółko od głównego do tylnego okna albo wychodziłam na podwórko, aby wszystko dobrze widzieć. Wtedy mama wołała do mnie: „Co tak biegasz w tę i z powrotem jakbyś się oleju rycynowego najadła?”. Sądziła, że biegam do wychodka stojącego na podwórku.

¹ Nawiązanie do Pwt 28:61 – tam oznaczające wszelkie nieszczęścia niewymienione wśród przekleństw za nieposłuszeństwo Izraelitów wobec Boga (przyp. tłum).

Faktycznie, czasem się w nim zatrzymywałam. Nie raz przez szczeliny między deskami, z których zbudowany był wychodek widziałam jak mój ojciec wciska w dłoń pieniądze Fajwelowi, lokatorowi naszego domu, i rozglądając się na boki szeptał: „Fajwel, masz tu pieniądze na czynsz, idź zapłać mojej żonie”.

Fajwel, lokator naszego domu, żył w niedostatku i bardzo rzadko miał pieniądze, żeby zapłacić za wynajem mieszkania. Moja mama nie mogła tego znieść. „Spójrzcie tylko, spójrzcie na jego żonę” – mówiła uszczypliwie – „jakie chały piecze, mąka bielusińska, a na czynsz nie ma!”.

Jednak, gdy lokator przekraczał próg naszego domu, powoli wyciągał pieniądze i w skupieniu wręczał je matce, na jej twarzy pojawiał się szeroki uśmiech. Prosiła go, żeby usiadł, a następnie podawała mu herbatę i poczęstunek. Ależ miałam wtedy ochotę powiedzieć jej prawdę. Słowa cisnęły mi się na usta, jednak kierując się *darkei szalom*² nigdy nie ujawniłam tajemnicy ojca.

Naszym najbliższym sąsiadem był piekarz Szlomo Brizman-Bartak nazywany Szlomo Bartakiem. Przepadałam za nim. Bo jak mogłabym nie? Poza tym kto wciskał mi w rękę wczorajsze bułeczki albo kawałek chleba z zakalcem? „Grzech wyrzucić” – mawiał. A ja na tym korzystałam.

Uwielbiałam wypieki z piekarni i mogłam je jeść bez końca. A mojej biednej mamie pękało serce, że nie mam apetytu, że nic nie chcę jeść.

Odplacałam się Szlomie, jak tylko mogłam. Jednak zdaje się, że skradłam jego serce przede wszystkim, stojąc u jego boku w trakcie kłótni i sprzeczek, które wybuchały między nim a jego szwagierką, Zeldą Czapkowską.

Mąż Zeldy, Zalman, był pobożnym Żydem i nie mieszał się w te kłótnie. To było dla niego niegodne. Zwykle siedział w bet ha-midraszu pochylony nad Gemarą, podczas gdy ciężar utrzymania domu i zajmowania się dziećmi spoczywał na Zeldzie. Chociaż Zelda, której dar dobierania słów podczas kłótni ze szwagrem miałam okazję obserwować, była chorowita, to nie skarżyła się na swój los. Wręcz przeciwnie, była bardzo dumna z Zalmana i z tego, że wyszła za mąż za mądrego ucznia. „Dzieci, tylko bez hałasowania” – przeganiała nas spod

² Pojęcie wywodzące się z halachy, odnoszące się do decyzji, których nadrzędnym celem jest zachowanie zgody i pokoju między ludźmi (przyp. tłum.).

okien swojego domu, gdzie lubiliśmy grać w kulki – „rabi Zalman teraz śpi!”. I dodawała z dumą: „Uczy się Gemary do drugiej straży nocnej!”³

O co, tak właściwie, kłóciła się ze szwagrem? Pamiętam, jak Zelda otwierała dłoń i w ten sposób, zwiększając odległość między małym palcem a kciukiem, demonstrowała, jak duży kawałek ziemi zagrabił jej Szlomo, gdy dzielili majątek po Chaji Fejdze.

O taki kawałek ziemi wybuchały czasem kłótnie między sąsiadami, gdy ich domy stały jeden obok drugiego. Nie myślcie sobie jednak, że z takiego powodu szło się do sądu. W żadnym wypadku! W takich sprawach chodziło się do rabina.

Tłumaczenie

Anna Styczyńska

³ Zgodnie z judaizmem, tradycyjnie noc dzieli się na trzy części (licząc od zachodu słońca) nazywane strażami (przyp. tłum.).